

ŁAKOMSKI Grzegorz : Cichociemni - zawsze samotni w walce // Mówią Wieki. - 2007, nr 10,

Tworzyli elitarną grupę żołnierzy. Byli ochotnikami, nie mieli mundurów, sztandaru, nie spotkali się na polu bitwy. Wnieśli nieoceniony wkład w walkę polskiego ruchu oporu z Niemcami i Sowietami, pełniąc najróżniejsze role: od udziału w dywersji i partyzantce aż po najwyższe funkcje dowódcze w Armii Krajowej.

Wyróżniały ich jeszcze dwie rzeczy. Szkolenie, jakie przechodzili na zakonspirowanych kursach na Wyspach Brytyjskich i we Włoszech, oraz sposób dotarcia do kraju - nocny skok ze spadochronem. Dotychczas nie wiadomo, kto wymyślił nazwę, która powstała w mglistych górach Szkocji i tak dobrze oddaje ich sposób działania - cichociemni

Noc z 27 na 28 grudnia 1941 roku. W operacji lotniczej "Jacket" skakało ich sześciu: "Orawa", "Kotwicz", "Wania", "Amurat", "Buka" i "Celt". Nie mieli szczęścia. Pilot dokonał zrzutu aż 22 km od miejsca przeznaczenia. Zamiast w Generalnym Gubernatorstwie skoczkowie wylądowali na terenach wcielonych do Trzeciej Rzeszy. Zniesieni nad las, zawiśli na drzewach. Nieprzytomnego "Orawę", który uderzył o pień sosny, znaleźli dopiero nad ranem. Musieli się rozdzielić. "Kotwicz", "Wania", "Celt" i "Buka" zostali zatrzymani przez patrol Grenzschutzu i zaprowadzeni na posterunek. Pod lufami karabinów postawiono ich przy ścianie. Gdy niemiecki żołnierz podszedł do "Wani", aby go zrewidować, natychmiast otrzymał cios w szyję. Zatoczył się. Wytrenowani w szybkim dobywaniu broni skoczkowie zareagowali błyskawicznie. Zastosowali nabytą podczas długich godzin ćwiczeń umiejętność "strzelania dynamicznego". Żaden z czterech Niemców nie wyszedł żywy. Wśród Polaków ranę od rykoszetu odniósł "Kotwicz". Całej czwórce po kilkudniowej ucieczce udało się dotrzeć do Warszawy. "Orawie" i "Amuratowi" nie było to dane. W walce z napotkanym oddziałem celników poległ pierwszy z nich. Ciężko ranny "Amurat", nie chcąc wpaść w ręce Niemców, odebrał sobie życie.

JAK PODPALIĆ EUROPE

Kpt. Maciej Kalenkiewicz "Kotwicz" nie złożył broni wraz z końcem kampanii wrześniowej. Walczył w oddziale mjr "Hubala", pełniąc funkcję jego zastępcy. W grudniu 1939 roku został wysłany do Paryża, gdzie miał nawiązać kontakt z gen. Władysławem Sikorskim. We Francji "Kotwicz" wraz z kpt. inż. Janem Górkim poświęcili się bez reszty nowej idei. Za cel postawili sobie przeforsowanie pomysłu szkolenia specjalistów od konspiracji, a następnie przerzucania ich drogą lotniczą do kraju. Po klęsce Francji i przeniesieniu Sztabu Naczelnego Wodza do Londynu idea przybrała realne kształty. Było to możliwe dzięki wsparciu Anglików. W lipcu 1940 roku powstało Special Operations Executive, czyli Kierownictwo Zadań Specjalnych. Jego zadaniem był wspieranie ruchów oporu w krajach okupowanych przez Niemców. Winston Churchill, zwracając się do pierwszego szefa SOE, sprecyzował zadania tej służby w krótkich słowach: "Podpali pan Europę".

Polacy w tym podpalaniu odegrali istotną rolę. Polska sekcja SOE wyróżniała się wśród innych oddziałów narodowych sporą autonomią. Mogła samodzielnie werbować ochotników do służby i posiadała własny kod łączności z krajem.

WERBUNEK "PTASZKÓW"

Początkowo przyjmowano zgłaszających się ochotników, ale z obawy przed ludźmi, dla których główną motywacją będzie chęć przeżycia przygody, zmieniono zasady rekrutacji. Propozycję rozpoczęcia szkolenia, którego zwieńczeniem miał być skok do kraju, kierowano wyłącznie do starannie wyselekcjonowanych kandydatów. Byli to żołnierze jednostek stacjonujących w Wielkiej Brytanii cieszący się najlepszą opinią. Stosowano surowe kryteria oceny cech moralnych, przygotowania fizycznego oraz psychicznego. Jedno nie uległo zmianie - musieli być to ochotnicy. W razie zgody kandydaci byli kierowani na pierwszy kurs. Jeśli odmówili, mogli wrócić do macierzystej jednostki, zachowując propozycję w tajemnicy. Rekrutacja była tajna. Oficjalnie dostałem wezwanie na kurs administracji wojskowej. Płk Stefan Mayer, z którym się spotkałem, zapytał, czy chciałbym służyć w kraju. Dał mi trzy minuty na zastanowienie. Nawet tego nie potrzebowałem. Byłem zachwycony tą propozycją - wspomina gen. Stefan Bałuk "Starba".

Program szkoleń, który został ułożony z uwzględnieniem sugestii płynących z Polski, był cały czas modyfikowany. Komenda Główna ZWZ/AK w depeszach zgłaszała zapotrzebowanie na cichociemnych wyszkolonych w konkretnych wojskowych specjalnościach. Największą grupę stanowili skoczki szkoleni do wykonywania zadań bieżących. Byli to specjaliści od wywiadu, dywersji, łączności, a także oficerowie sztabowi. W skład drugiej grupy, która miała odegrać rolę w odbudowie sił zbrojnych oraz w przygotowaniach do powstania powszechnego, oprócz oficerów sztabowych wchodził lotnicy, dowódcy oddziałów oraz lekarze. Oprócz cichociemnych, zwanych też ptaszkami, do kraju skakali kurierzy i emisariusze polityczni Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Określano ich mianem polityków lub kociaków - od nazwiska ministra Stanisława Kota.

SZUKASZ ŚMIERCI - WSTĄP NA CHWILĘ

Szkolenia trwały od kilku miesięcy do roku. W wersji zasadniczej obejmowały kursy: zaprawowy, badań psychotechnicznych, spadochronowy, walki konspiracyjnej oraz odprawowy. Kandydaci na cichociemnych rozpoczynali szkolenie od zaprawy fizycznej, strzeleckiej i dywersyjno-minerskiej. Jej głównym celem był trening wytrzymałościowy, a dodatkowym efektem - wstępna selekcja. Kursanci, którzy nie wytrzymywali kondycyjnie lub odnieśli kontuzję, odpadali z dalszego szkolenia. Uczono też sprawnego posługiwania się bronią, w tym strzelania z biodra i z podrzutu, walki wręcz, dżu-dżitsu, terenoznawstwa i podstawowej wiedzy minerskiej.

Następnym etapem był kurs spadochronowy, który w najbardziej rozbudowanej wersji rozpoczynał się od trwającego od dwóch do czterech tygodni treningu w ośrodku Largo House pod Leven w Szkocji. W skróconym szkoleniu tę część pomijano. Polski ośrodek zastąpiła spadochroniarską ścieżką zdrowia zwaną małpim gajem. O jej trudności może świadczyć napis,

który widniał nad bramą: "Szukasz śmierci - wstąp na chwilę". Polacy wybudowali pierwszą w Wielkiej Brytanii wieżę spadochronową.

Gdy po raz pierwszy przyjechałem do Largo i pokazano czteroipółmetrową ścianę, przez którą miałem skakać, powiedziałem, że w życiu jej nie przeskoczę. Skakałem potem wiele razy. Wielkie zasługi mieli żołnierze Polskiej Brygady Spadochronowej gen. Sosabowskiego, którzy byli instruktorami. Wykazywali dużą inwencję w szkoleniu, wymyślając co dziwniejsze ćwiczenia - podkreśla gen. Stefan Bałuk. Intensywna zaprawa miała na celu nauczenie techniki skoku, często bolesnej techniki lądowania, a także podniesienie u przyszłych skoczków ogólnego poziomu wygimnastykowania. Musieli wyrobić w sobie nawyk reakcji na komendę przygotowania do skoku: Action station, oraz na komendę skoku - Go. Jak wspomina ppor. Leszek Starzyński "Malewa", po jakimś czasie zautomatyzowanie doszło do tego stopnia, że gdy jeden z adeptów krzyknął przez sen: Action station, drugi natychmiast dodał: Go, a trzeci zleciał z pryczy.

POLSKA FANTAZJA

Po treningu w Largo House przychodził czas na pierwsze skoki. Szkolenie w ośrodku spadochronowym w Ringway pod Manchesterem trwało tydzień. Program obejmował początkowo pięć skoków, w tym jeden nocny. Następnie został rozszerzony do pięciu skoków dziennych z samolotu, dwóch z balonu i jednego nocnego. Na miejscowym lotnisku szlify zdobywali m.in. spadochroniarze brytyjscy, francuscy, norwescy czy holenderscy. Polacy wyróżniali się w tym międzynarodowym towarzystwie wyczynami pełnymi fantazji, jak wyskakiwanie z samolotu parami czy wcześniejsze rozpinanie klamry utrzymującej linki spadochronu. Zgodnie z instrukcją powinno się ją odpinać dopiero po wylądowaniu. Niektórzy robili to nawet kilkanaście metrów nad ziemią, czyli na wysokości czwartego piętra. Na temat skoków w Ringway krąży sporo anegdot. Na dole zawsze stał instruktor z ogromną tubą, przez którą korygował lot opadających skoczków. Byłem raz świadkiem pewnego zdarzenia. Skoczek spadał w nieprawidłowej pozycji, z rozpostartymi rękami. Był już tak nisko, że instruktor nie korygował jego postawy, tylko krzyczał "ziemia, ziemia!" Skoczek po twardym spotkaniu z podłożem odpowiedział mu: "I ty mi będziesz mówił o ziemi..." - opowiada gen. Stefan Bałuk.

Świeżo upieczeni skoczkowie po zdobyciu odznaki spadochronowej byli kierowani na kurs walki konspiracyjnej, na którym mieli się nauczyć dowodzenia zespołem dywersyjno-sabotażowym, a także zdobyć inne umiejętności przydatne w warunkach konspiracji. W zakres szkolenia wchodziły: dalszy trening strzelecki, zakładanie min-pułapek, włamania do budynków, otwieranie zamków, niszczenie urządzeń przemysłowych i pociągów, ucieczki różnymi środkami lokomocji, ciche zabijanie oraz kłamstwo doskonałe, którego uczono w tzw. szkole kłamstwa.

Podczas kursu walki konspiracyjnej wiele czasu poświęcano zajęciom praktycznym. Uczestnicy kursu dostawali zadania, które musieli wykonać w środowisku angielskim. Mogły one polegać na zaminowaniu mostu nieuzbrojonym ładunkiem wybuchowym, zebraniu poufnych informacji o fabryce bez zwracania niczyjej uwagi lub nawet na przeprowadzeniu ataku na stację kolejową czy lotnisko rezerwowe RAF. Przeciwnikiem dla kursantów była policja i Home Guard, których

często nie uprzedzano o akcji. Była to równocześnie forma sprawdzenia ich czujności. W razie wpadki kandydaci na cichociemnych musieli dzięki sprytowi i pomysłowości uniknąć odpowiedzialności. Pod żadnym pozorem nie mogli zdradzić prawdziwego celu działania, gdyż skutkowałoby to wydaleniem z kursu.

NAUKA ŻYCIA POD OKUPACJĄ

Szkolenie kończyło się kursem odprawowym, który miał zapoznać skoczków z warunkami życia pod okupacją, strukturą AK oraz sił niemieckich, szczególnie policyjnych. Zajęcia prowadzili często kurierzy, którzy przyjechali z kraju, m.in. Elżbieta Zawacka "Zo". Kursanci mogli się na nich zapoznać zarówno z polskojęzyczną prasą gadzinową, jak i konspiracyjną bibułą.

Na tym etapie skoczkowie zmieniali się z żołnierzy w cywili. Musiała to być przemiana gruntowna: od powierzchowności i ubrania po zmianę tożsamości, czyli "maski", i zgodną z podrobionymi dokumentami i zbiorem ułożonych w logiczną całość kłamstw legendę. Umożliwiano im zdobycie podstawowej wiedzy w zawodzie, który figurował w dokumentach. Odbywali praktyki zawodowe w fabrykach samochodów, na farmach, w piekarniach. Kursy odprawowe przeszli prawie wszyscy cichociemni.

Odbywały się one w Audley End w Essex, stacji szkolenia cichociemnych przekazanej w ręce Polaków. W 1942 roku przeniesiono tu kurs walki konspiracyjnej. Polskim komendantem ośrodka i szefem szkolenia był mjr Józef Hartman, były adiutant prezydenta Mościckiego. Sam nie mógł skoczyć. Ze względu na pełnioną przed wojną funkcję był powszechnie znany, co wiązało się z dużym prawdopodobieństwem dekonspiracji.

Równoległe z zajęciami kursu podstawowego skoczkowie przechodzili często szkolenie specjalistyczne, dzięki któremu mieli być bardziej wszechstronni. Mógł być to kurs wywiadu, fałszowania dokumentów, pancerny, dla radiotelegrafistów czy radiomechaników. Dodatkowo w przerwach między kursami podstawowymi i specjalistycznymi organizowano kursy uzupełniające, np. mikrofotografii, wyrabiania materiałów wybuchowych, walk ulicznych, czarnej propagandy czy zmiany wyglądu.

ZACIERANIE ANGIELSKICH ŚLADÓW

Po zakończeniu szkolenia i wytypowaniu do skoku kursanci przyjmowali pseudonim oraz składali przysięgę na rotę Armii Krajowej. Zaprzysiężeni cichociemni byli kierowani na stację wyczekiwania. Spędzali tam od kilku dni do nawet kilku miesięcy. Termin skoku zależał od wielu czynników: pogody, fazy Księżyca, możliwości eskadry transportowej, zagrożenia ze strony Niemców oraz gotowości placówki odbiorczej. Nadmiar wolnego czasu wykorzystywano na szkolenia uzupełniające i doskonalenie umiejętności strzeleckich. Cichociemni nosili wtedy brytyjskie battledresy, jednak bez żadnych odznak czy dystynkcji. O noszeniu odznaki spadochronowej nie było mowy.

Zdarzały się w związku z tym śmieszne historie. Tuż przed bitwą o Monte Cassino stacjonowaliśmy na południu Włoch, na stacji wyczekiwania. Półwysep Apeniński był już wtedy w połowie zajęty przez aliantów. W oczekiwaniu na odlot jeździliśmy na wycieczki do Bari, do

Brindisi. Gdy mijaliśmy patrol żandarmerii II Korpusu gen. Andersa, słyszeliśmy zwykle "żołnierze, wróć!". Udując zdziwienie, pokazywaliśmy dokument, na którym było lakonicznie napisane: "Okaziciel niniejszego jest żołnierzem wojsk sprzymierzonych". Wtedy żandarmeria "biła w czapy" i przepraszała. Czasami robiliśmy to dla zabawy - opowiada gen. Stefan Bałuk.

Przed operacją cichociemni otrzymywali ekwipunek. W jego skład wchodziły sfałszowane dokumenty dopasowane do legendy, dwa pistolety z amunicją, nóż, latarka i medykamenty. Do tego teczka ze zmianą bielizny i przyborami do golenia. Ubrania były dobierane tak, aby nie rzucały się w oczy i wyglądały jak najmniej angielsko. Były też specjalnie niszczone, by zbyt świeżym wyglądem nie wzbudzały podejrzeń. Wpadkę mógł spowodować najmniejszy szczegół - metka lub napis made in England. Tuż przed startem samolotu na wszelki wypadek przeprowadzano rewizję. Dbano nawet, by drobiazgi w kieszeniach nie odbiegały od tych, które nosili przeciętni mieszkańcy okupowanej Polski. Mogły to być papierosy Juno, ołówek firmy Harmuth & Ska, kwity z pralni lub skrawki prasy gadzinowej.

Skoczkowie przewozili pocztę kurierską, a także ukryte w lnianych pasach duże kwoty pieniędzy przeznaczone na wsparcie ruchu oporu w kraju. Było to nawet 150 tys. dolarów. Dostawali też półroczne pobory wypłacone z góry. Ich wysokość była zależna od stopnia, z tym że każdy z cichociemnych z chwilą lądowania na polskiej ziemi był awansowany o jedną szarżę. Na koniec typowo spadochroniarskie wyposażenie - gumowy hełm i kombinezon.

Cały ekwipunek był dużym obciążeniem dla skoczków. Najwięcej jednak ważyła odpowiedzialność, jaką składano na ich barki. Ogrom informacji na temat systemu szkoleń na Wyspach Brytyjskich, który posiadał każdy z nich, sprawiał, że byli niezwykle cennym celem dla gestapo. Dlatego ostatnim elementem wyposażenia była pastylka "L", która po zażyciu powodowała szybką śmierć.

Po starcie z lotniska los skoczków zależał od sprawności załogi samolotu, pogody, a także czujności niemieckiej artylerii przeciwlotniczej. Za skomplikowaną operację przerzutu odpowiadała baza nadawcza podlegająca Oddziałowi VI Sztabu Naczelnego Wodza. Pod koniec 1943 roku, po zajęciu południowych Włoch przez aliantów, baza została przeniesiona w okolice Brindisi. Od tego momentu cichociemnych szkolono w Ostuni, na południu Półwyspu Apenińskiego. Trasa z Włoch była korzystniejsza ze względu na krótszą odległość - 1350 km od Warszawy. Z Wielkiej Brytanii do stolicy Polski było 1570 km.

Do zadań Armii Krajowej w kraju należało przygotowanie placówek odbiorczych, które musiały spełniać kilka warunków. Teren powinien być równy, o odpowiednio dużej powierzchni, oddalony od jednostek niemieckich, w pobliżu dużych połaci leśnych umożliwiających skryte dojście i oddalenie się od miejsca zrzutu. Po 1942 roku przygotowywano dwie placówki odbiorcze: główną i zapasową. Dodatkowo wyznaczano obszar zrzutu na dziko.

Placówki odbiorcze zatwierdzone przez Komendę Główną AK i oznaczone kryptonimami wraz z rozpoczęciem sezonu lotów przechodziły w stan czuwania. Czekały na znak z Londynu. W audycji Polskiego Radia nadawanej ze stolicy Wielkiej Brytanii o godz. 15.15 podawano

komunikat specjalny składający się z szeregu trzycyfrowych liczb. Jedna z nich, zwana kaczką, wskazywała placówkę odbiorczą, która została wybrana przez Sztab Naczelny Wodza do przyjęcia najbliższego zrzutu. Powtórzenie tego samego komunikatu o godzinie 21.15 oznaczało, że ekipa skoczków jest już w drodze. Załoga placówki odbiorczej rozpoczynała oczekiwanie na zrzut. Ostatni komunikat radiowy nadawany po 23.15 potwierdzał, że samolot z cichociemnymi nie zawrócił z drogi, np. z powodu złych warunków pogodowych.

CHRZEST BOJOWY

Najbardziej emocjonującym momentem operacji był zrzut. Załoga placówki odbiorczej oczekiwała w napięciu na odgłos silników samolotu. Gdy go usłyszała, zaczynał się swoisty dialog z pilotami za pomocą znaków świetlnych. Ludzie na ziemi latarką dawali pierwszy sygnał alfabetem Morse'a. Gdy pilot odpowiedział, zapalano umówiony znak, który miał wskazać miejsce lądowiska oraz kierunek wiatru. W pierwszej kolejności wyrzucano zasobniki ze sprzętem. Następnie przychodziła pora na cichociemnych. Gdy skoczkowie opadali zawieszeni pod czaszami spadochronów, załoga samolotu machała skrzydłami na pożegnanie i leciała w inne miejsce, by dla zmylenia Niemców tam upozorować zrzut.

Ze względu na to, że loty odbywały się nocą, istniało duże ryzyko pomyłek. Nieraz się zdarzało, że pilot, biorąc w ciemnościach światła na ziemi za punkt rozpoznawczy, który powinien się znajdować niedaleko placówki odbiorczej, dokonywał zrzutu w dużej odległości od niej. Tak skończyła się pierwsza operacja z 15/16 lutego 1941 roku. Zamiast na placówkę koło Włoszczowy skoczkowie zostali zrzućeni na terytorium Rzeszy. Cichociemni byli wówczas zdani tylko na siebie. Istotny wpływ miały też warunki atmosferyczne. Silny wiatr mógł spowodować, że skoczkowie lądowali nawet w kilkukilometrowych odstępach.

Każdy z nas musiał samodzielnie wypełniać swoje zadania. Cichociemny był zawsze samotny w walce - mówi gen. Bałuk. Jeśli warunki były sprzyjające, a pilot dobrze rozpoznał placówkę odbiorczą, skoczkowie byli witani przez jej załogę. Po zdaniu pasów z pieniędzmi udawali się na spoczynek do konspiracyjnej meliny, zwykle w wiosce niedaleko lądowiska.

Ostatni lot do kraju ze skoczkami odbył się z 26 na 27 grudnia 1944 roku. Podczas czterech sezonów operacyjnych samoloty zabrały 316 cichociemnych oraz 28 kurierów politycznych. Dostarczono do Polski 35 mln dolarów i 19 mln marek, a także 670 t sprzętu, z czego odebrano ponad 443 t.

WYWALCZ JEJ WOLNOŚĆ LUB ZGIŃ

Krótko po wylądowaniu cichociemni trafiali w samo centrum okupacyjnej rzeczywistości. Musieli przywyknąć do widoku umundurowanych Niemców na ulicach miast i wszystkich reguł życia, które dotąd znali jedynie w teorii. W pierwszym okresie aklimatyzacji, trwającym zwykle kilka tygodni, skoczkom pomagały tzw. ciotki, kobiety z referatu "Import" AK. Następnie rozpoczynali samodzielną służbę w konspiracji przy wypełnianiu zadań, do których byli przeszkoleni.

Cały czas musieli się mieć na baczności. Wiele zachowań wyniesionych z życia na Wyspach w Polsce mogło być przyczyną aresztowania. Tak było z jednym z cichociemnych, który potracając kogoś w warszawskim tramwaju, nieopatrznie powiedział: Sorry. Zdarzały się różne historie - opowiada gen. Bałuk. - Jeden z moich kolegów w tramwaju wyciągnął z kieszeni bilet z angielskiego metra. Bliski dekonspiracji był też Stanisław Jankowski "Agaton". Gdy chorował na gripę i miał 40 stopni gorączki, do mieszkania weszło gestapo, które szukało w okolicy kogoś innego. Gestapowiec po kontroli oddał leżącemu w łóżku "Agatonowi" dokumenty. Ten odruchowo powiedział "thank you".

Kandydaci na cichociemnych w trakcie początkowej rozmowy byli ostrzegani przed wyjątkowym ryzykiem, jakie niosła ze sobą ta służba. Przedstawiano im statystykę, według której skoczek od dnia zrzutu do okupowanego kraju żył nie dłużej niż sześć miesięcy. Każdy z kandydatów mógł, licząc na pełną dyskrecję, nie przyjąć propozycji podjęcia niebezpiecznego wyzwania. Śmiazków było jednak wielu. Na kursy przyjęto 2413 chętnych. Ciężkie szkolenie zdołało ukończyć jedynie 605. Tylko 316 było dane wyruszyć do Polski i zyskać tym samym miano cichociemnych. Do końca okupacji niemieckiej poległo 101 z nich, ośmiu zginęło po wojnie z rąk UB.

Wywalcz jej wolność lub zgiń - takie motto widniało w głównej sali odprawowej w polskim ośrodku Audley End. O tym, że nie były to tylko puste słowa, świadczyły zawieszane zdjęcia "Orawy" i "Amurata", pierwszych poległych cichociemnych.